

WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 1 (118)
Rok IV
5 I 1964 r.

CZESŁAW KŁAK

CO SŁYCHAĆ?

Tym stereotypowym i... nieco kłopotliwym pytaniem witają się znajomi na ulicy i w kawiarni. Cóż tam, panie, w polityce? — indagował Dziennikarza Czepiec w I scenie „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Odpowiedź była równie wykretna jak współczesne powiedzonka w rodzaju „jakoś tam leci”. Przeciwnie, stawiając się niejako tradycji i uprzedzając pytanie Czytelników „Widnokrąca”: „Co słychać w polityce kulturalnej?” podajemy garść autorytatywnych informacji dotyczących rozwoju i form pracy kulturalno - oświatowej w województwie rzeszowskim w 1964 roku.

Wielki Jubileusz — 20-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zobowiązuje do maksymalnego wysiłku. Chodzi nie tylko o fajerkę i galowe akademie. Władze wojewódzkie wychodzą ze słusznego założenia, że bez powiększenia i unowocześnienia bazy, zwłaszcza na wsi, nie może być mowy o właściwej pracy kulturalno - oświatowej. Stąd w najbliższych planach przewidziano poprawę sytuacji lokalowej bibliotek. W tej chwili sieć tych placówek jest pełna. W każdej gromadzie znajduje się biblioteka. Ponadto istnieją 122 samodzielne biblioteki wiejskie nie licząc punktów z wymiennymi księgozbiorami. Niestety, około 40 proc. bibliotek gromadzkich mieści się w małych, nieprzystosowanych do potrzeb lokalach. Niektóre z nich są zagrzybione, nie mają pleców, a nawet odpowiednio zabezpieczonych okien. Nie dziwnego, że oddziaływanie tych placówek na środowisko wiejskie w najdogodniejszym okresie zimowym jest znikome. Z relacji kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN — mgr Franciszka Filipowicza wynika jednak, że wiele spośród najbardziej zaniebanych bibliotek przeniesie się w tym roku do nowych lokali bądź też zostanie poddanych gruntownym zabiegom adaptacyjnym. Realizacja tego zadania uzależniona jest w dużej mierze od pomocy miejscowej ludności, która coraz częściej wspiera wysiłki władz administracyjnych czynami społecznymi.

Doświadczenia ostatnich lat dowiodły, że kompleksowe ośrodki kultury wiejskiej powstające przy szkołach i bibliotekach rozwijają pozytywną działalność oświatową i kulturalną. Tworzenie nowych placówek tego typu, wyposażonych we współczesne środki przekazywania: radio i telewizor, jest przedsięwzięciem godnym poparcia. Trudno ustalić z matematyczną dokładnością ile nowych czytelników wiejskich, świetlic związkowych i spółdzielczych, klubów-kawiarni ZMW, Klubów Prasy i Książki „Ruch” powstanie w tym roku. Klimat jest dobry. Do akcji włączają się coraz to inne instytucje i organizacje społeczne. Warto np. odnotować, że Zarząd Wojewódzki Związków Pracowników Rolnych opracował plan rozwoju placówek kulturalnych w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, przeznaczając na jego realizację dość znaczne kwoty.

Hasło „TELEWIZOR W KAŻDEJ ŚWIETLICY” trafiło na podatny grunt. W wielu miejscowościach powołano społeczne komitety, które zajmują się gromadzeniem środków na zakup telewizora. Rady narodowe inicjatywę tę będą popierać ze środków budżetowych. Tak więc wolno przypuszczać, że pod koniec 1964 roku większość placówek wiejskich odnotuje jako sukces kupno aparatu telewizyjnego.

Z myślą o mieszkańcach wsi czyni się również starania zmierzające do powiększenia sieci kin stałych. Sytuacja obecna jest niezadowalająca. Uruchomienie nowego kina wymaga poważnych nakładów finansowych. Mimo to wieś rzeszowska otrzyma około 30 kin stałych. Będą to kina społeczne. Krytyczne uwagi kierowano dość często pod adresem kin objazdowych, które rzadko docierają do miejscowości leżących z dala

od głównych szlaków komunikacyjnych. Działło się tak m. in. dlatego, że jedyny dla całego województwa ośrodek dyspozycyjny mieścił się przy Wojewódzkim Zarządzie Kin w Rzeszowie. W tym roku Wydział Kultury Prezydium WRN wspólnie z WZK zamierzają zmodyfikować nieco strukturę organizacyjną kina objazdowego. Dyspozytorami kinobusów będą kina powiatowe, a więc te, które z natury rzeczy mają lepsze rozeznanie w terenie. Według opinii znawców pociągnięcie to zawładnie dodatkowo na operatywności kina objazdowego.

Powolywanie do życia nowych ośrodków kultury wiejskiej nie rozwiązuje automatycznie problemu upowszechniania kultury wśród dorosłych. Dobre wyniki pracy zależne są od przygotowania ludzi kierujących tymi placówkami. Co słychać na tym odcinku? Nic dobrego, chociaż projekt utworzenia we wszystkich miastach powiatowych poradni kulturalno - oświatowych jest próbą wyjścia z impasu. Podkreślam, próbą, bo skutki działalności powiatowych punktów instrukcyjno - metodycznych nie od razu dadzą się zauważyć. Jeśli uda się zaangażować na te stanowiska pracy fachowców (jak dotąd trzeba ich szukać ze świecą) rezultaty niewątpliwie będą pomyślne.

Nietrudno się zorientować, że frontalne uderzenie w nowym roku skierowane zostanie na wieś. Tam bowiem mamy do odrobienia poważne jeszcze zaległości w dziedzinie upowszechniania oświaty i kultury.

Czego należy się spodziewać w samym Rzeszowie? W lipcu Biuro Wystaw Artystycznych wprowadzi się do pięknie odrestaurowanej synagogi. Dwie sale wystawowe, jasne i przestronne pracownie dla artystów rozwiążą fatalną sytuację obecną. Nie znaczy to, że BWA przestanie wystawiać w innych salach, w zakładach pracy itp.

Zapowiedziano również otwarcie stałej ekspozycji w Muzeum Okręgowym. Aczkolwiek informacji tej mamy prawo nie dowierzać, jako że niedotrzymanych terminów było już bez liku, to jednak z iskrą nadziei oczekujemy na podniosły moment przecięcia wstęgi.

Sukces kabaretu „Porfirion”, o którym przed dwoma miesiącami informowała prasa, przyspieszył negocjacje w sprawie oddania rzeszowskiej Estrady sali teatralnej. Jeśli obietnice Prezydium WRN przybiorą realne kształty, a władze miejskie wezmą na siebie trud przeprowadzenia remontów, należy się spodziewać drugiej bardzo miłej przeprowadzki.

Reszta po dawnemu. W czerwcu dla uświetnienia Dni Rzeszowa w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej odbędą się Spotkania Teatralne. A propos. Teatr rzeszowski w tym roku obchodzić będzie 20-lecie istnienia. Spodziewaliśmy się, że niezależnie od galowego przedstawienia „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego (tą sztuką teatr inaugurował swoją działalność) otrzymamy wydawnictwo obrazujące dorobek tej placówki. Dotychczas nie zrobiono w tym kierunku nic, co wypada ze smutkiem wytknąć.

Spokojni mogą być również melomani. W maju odbędą się tradycyjne Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie z udziałem zespołów zagranicznych i krajowych. Mówi się również o koncercie Małcużyńskiego.

Można by jeszcze niejedno wymienić. Rok obecny obfitować będzie w imprezy kulturalne o dość szerokim zasięgu. Wiadomo: Jubileusz.

W BIESZCZADACH

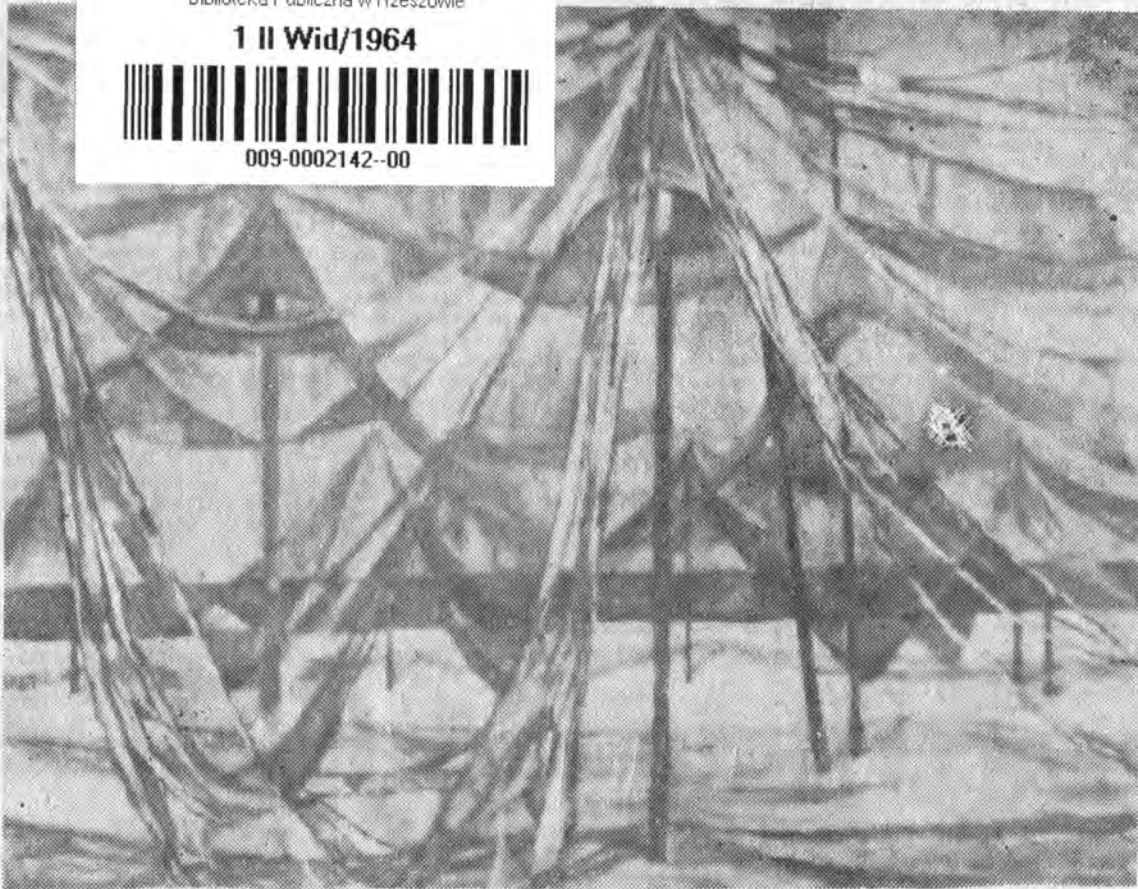
Fot. Z. POSTĘPSKI

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

1 II Wid/1964



009-0002142-00



E. SZYMANIUK

S I E C I — olej

(Z wystawy plastyki 4 województw w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie).

Na drodze do awansu i postępu (III)

W OCZEKIWANIU NA WIEK BALZAKOWSKI

Gdy przed paru laty zapadła decyzja o wybudowaniu w Krośnie drugiej huty szkła, dyrekcja zorganizowała uprzednio zasadniczą szkołę przemysłu szklarskiego, wzniosła dla niej budynek, wyposażyła ją w niezbędne urządzenia i pomoce naukowe. Absolwentów szkoły jest jednak wciąż za mało. Rozpoczęto więc szkolenie kadr w toku produkcji. Nowo przyjęci robotnicy wykonują początkowo najmniej skomplikowane prace: asystują fachowcom, podają surowiec,

odnoszą produkty. Wykwalifikowani hutnicy wprowadzają ich w arkana zawodu. Czynną to chętnie, za nauczanie nowicjuszy otrzymują wynagrodzenia zwane tu „skórą”. Są oni zainteresowani tym, aby początkujący rzeczywiście zdobyli niezbędne umiejętności. Po złożeniu egzaminu kwalifikacyjnego wejdą w skład zespołów pracujących akordowo; zarobki uzależnione są od pracy całego kolektywu. Niechętnie patrzą więc hutnicy na ludzi posiadających „lewe ręce” — unika-

jących pracy. Krośnieńskie huty to nie cech lub manufaktura; nikt przed nikim nie ukrywa tajemnic zawodu. Robotnicy wykwalifikowani chętnie uczą nowo przyjętych i dlatego, gdyż wzrost zatrudnienia otwiera przed nimi perspektywę awansu na starszych hutników, pomocników mistrzów, mistrzów.

Dyrekcja huty sporo uwagi poświęca także kształceniu nadzoru technicznego. M. in. dla około 150 pracowników uczących się w Technikum Przemysłu Szklarskiego w Wołominie utworzono w Krośnie punkt konsultacyjny, umożliwiono pobieranie nauki i w innych szkołach. Zakład funduje stypendia studentom wyższych uczelni.

Coraz więcej pracowników przekonuje się, że o pozycji społeczno-zawodowej decydują posiadane przez nich kwalifikacje. A rozbudowujący się przemysł szklarski stwarza przed wieloma perspektywami dalszego awansu. To jest bodajże najbliższym czynnikiem skłaniającym pracowników do podjęcia nauki.

Ale i w Krośnie zdarzają się pewne zgrzyty. Nie wszyscy ochoczo garną się do książki. Wprawdzie do nauki zawodu nie potrzeba zbyt usilnie namawiać, robotnicy przekonali się, że od wyników egzaminów kwalifikacyjnych uzależniona jest grupa zaszczerowania. Niemniej jednak wysiłku wkłada aktyw gospodarzy i społeczni, by skłonić pracowników do uzupełnienia wykształcenia podstawowego. Nie do każdego trafiają argumenty... Od nowo przyjmowanych zakład wymaga pisemnego zobowiązania, że w określonym terminie ukończą VII klasę. Bez wykształcenia podstawowego pracownik do 35 roku życia nie może awansować. Czeka więc na tę zwałczną granicę wieku. Wkraczając w wiek balzakowski są wolni... A kiedy podlegają jeszcze obowiązkowi uczenia się, przynoszą zaświadczenia lekarskie, kobiety zaślanają się obowiązkami domowymi, najczęściej opieką nad dziećmi. — Co, ja będę chodzić do szkoły, a kto zaopiekuje się moimi dziećmi, kto im będzie pomagał w nauce? Dyrekcja

(Ciąg dalszy na str. 3)



Po śmierci Gustawa Morcinka

PISARZ LUDZKIEGO DOBRA

Niektóre tam przyjeżdżałem padał deszcz. Było mroczno, od stacji w Skoczowie do domu pisarza brnąłem przez błoto, wreszcie niewielki ogródek, skąd przejście wiodło ku domowi. Również ten dom wydawał mi się ciemny: długo nie zapalało światła, siedzieliśmy w mroku i gawędziliśmy. Towarzyszyła nam jeszcze wówczas siostra pisarza, pani Teresa, Tereska, jak ją nazywał jej brat. Pozwoliła mi tak nazywać siebie, a pewnego dnia Morcinek napisał, że Tereska nie żyje.

Wyobrażałem go sobie samotnego w tym domu ze schodami wiodącymi na pięterko, gdzie pracował, gdzie właściwie gawędził ze sobą samym i swymi postaciami, pisarstwo bowiem Morcinka to właściwie niewystająca gawęda, powolna rozmowa bez porównań, bez użycia wymyślnych słów, w sytuacjach najprostszych, niewyjątkowych. Trud górnik, uporczywa, dramatyczna i tragiczna często walka z siłami przyrody, które równie tam, na dole, dawały znać o sobie, była bowiem dla niego i jego postaci czymś zwykłym, normalnym. Życie nie zaoszczędziło jednak pisarzowi kilku sytuacji wyjątkowych, gorzkich, niezwykłych. W „Listach spod morwy” i w „Dziwieczynie z Champs Elysées” opisał swoje doświadczenia wojenne, obozowe i powojenne. Również i w tych

książkach była interpretacja świata i jego zjawisk, z którą się nie godziłem. Wojna, obóz, wszystkie doświadczenia niezliczonych ludzkich rzesz całego naszego kontynentu przeżyły światu Morcinka, w którym żyli i działali tylko ludzie dobrzy, przyjaźni, uczynni, wrażliwi. Krzywda, niesprawiedliwość, zło, jeśli się ujawniało, było zawsze kwestią charakteru poszczególnych osób, nigdy wynikiem działania praw powszechniejszych, ogólniejszych, wadliwych urządzeń społecznych, które należało zmienić. Morcinek kwestii tych nie dostrzegał, ale trudno było o nich dyskutować z pisarzem. Trzeba było cofać się, nie przed jego argumentacją, tylko przed tym uporczywym doszukiwaniem wszędzie i u każdego człowieka pierwiastków dobra. I one, tylko one decydowały. Jego hitlerowcy to twory szatana, a więc nieludzie; gdyby im zostawił ludzki kształt, dostrzegłby zapewne i u nich pierwiastki dobra. Krytyka wyraźnie mówiła o tej barwie jego utworów, nie godzono się z nim, z jego interpretacją świata, ale bez Morcinka literatura polska byłaby uboższa o bardzo szczególny element.

★ ★ ★

Morcinek tworzył mity, utrwalał pewną legendę o stosunkach istnie-

jących między ludźmi, rozdzielanymi sprzecznościami klasowymi, politycznymi, moralnymi. Miał właściwie o tych kwestiach poglądy zeszlowieczne, ale i one były już zapóźnione. Co wszakże dominowało w jego dziele niezwykle popularnym, to szacunek dla pracy ludzkiej, dla człowieka walczącego w trudzie niewymownym o chleb, o życie, swoje zapamiętanie. Umiał pisać wzniosłe o trudzie, o zawodzie górnik, o Ślązakach w pierwszym rzędzie, z nimi bowiem, mieszkańcami tej części Polski, był zespolony przez całe życie i oni byli z niego dumni. Gustaw, Gustlik to był ich pisarz, ich przyjaciel; mówił ich mową, znał ich obyczaje, zamiłowania, wiedział, co to jest górnicza wierność sprawom zawodu, kraju. Morcinek był przy górnikach w kopalni, śmiał się i płakał wraz z nimi.

Jego utwory, napisane przed wojną, opowiadania w tomie „Serce za tamą” oraz „epopeja „Wyrębany chodnik” zyskały mu czytelników, którzy po raz pierwszy sięgnęli po książkę, po tę właśnie książkę, tego właśnie pisarza, aby pozostać wiernymi jego czytelnikami przez długie lata. Książki dla młodzieży: „Gwiazdy w studni” oraz „Ludzie są dobrzy” zyskały popularność wśród młodych ludzi. Powojenne utwory z życia górniczego Śląska: „Pokład Joanny”, „Czarna Julka” powieść „Ondraszek” oraz wiele, wiele innych, przysporzyły mu nowych czytelników i uznanie, co zyskało również wyraz w wyróżnieniu pisarza wysokimi odznaczeniami państwowymi.

★ ★ ★

Posiadam kilka książek Morcinka z dedykacjami. Na jednej z nich — książce „Dziwczyna z Champs Elysées” — w kompozycji okładki włączono pierwszą stronę teatralnego aktu personalnych Gustawa Morcinka z obozu koncentracyjnego w Dachau. Gestapo aresztowało pisarza już 6 października 1939 roku. W jednej z książek Morcinek napisał: „Przez pięć lat i siedem miesięcy przebywałem kolejno w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen i Da-



GUSTAW MORCINEK.

Fot. CAF — SEKO

JAN GRYGIEL

PRZECIW ELEKTRONOWEJ WYOBRAŹNI

Tomik wierszy Jerzego Walawskiego wydany ostatnio przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie mimo iż jest oficjalnym debiutem, nie jest pierwszą publikacją młodego poety. Już w roku 1956 ukazał się nakładem Klubu Artystycznego w Nowej Hucie arkusz jego wierszy pt. „Lustro”. Arkusz składał się z wierszy młodzieńczo-gorskich i dość wtórnych (wyraźny patronat Różewicza), lecz zasadniczy ton i kształt emocjonalny tamtych utworów powtarza się w „Kamiennej orbicie”. Mam na myśli pozorną oschłość, ascetyczną wstrzemięźliwość w ujawnianiu wzruszeń, dążność do budowania formuły przypominających naukowe definicje. Na próżno szukać by u Walawskiego fizycznego ciepła, jakiegś bezpośredniej erupcji uczuć lub cienia sentymentalizmu. Jest programowo rzeczowy nawet w najintymniejszych wierszach, gdy przewrotnie definiuje miłosne wzruszenie dwójga młodych ludzi jako wynik ścierania się dodatków i ujemnych ładunków elektrycznych:

„Elektryczny wstrząs
elektryczny płacz
oczy w ciemności
okruchy błyskawicy

Noc i zmierzch zmierzch i noc
burza we włosach
światło na skroni
chmury nad nami

Naelektryzowane powietrze
minus plus

(„Ładunki”)

cywilizację urbanistyczną i techniczną, natomiast dzisiejsi młodzi poeci odnoszą się do tych spraw z nieufnością i lekciem. Niektórzy stwarzają nawet sztuczny konflikt między wartościami humanistycznymi kultury a bezduszną techniką, w czym zresztą ulegają współczesnym odmianom tendencji katastroficznych występujących nie tylko u młodych. W wierszach Walawskiego nie ma entuzjazmu ani aprobaty dla przelotu techniki, jest nieufność, niepokój i ton przestrogi.

„Odpoczywający przed ekranami
oscylografów
czulkami anten odczytują Chopina,
który przemawia do nich

z zaświatów
interpretowany matematycznie”...

(„Jasny warkocz”)

„W chwili zmierzzonej wielkim
blaskiem

poleciał księżyc w przestrzeń
strącony z pękniętej orbity
i jeszcze jedną
spadającą gwiazdę
zobaczysz dziecko nieziemskie
z odległej planety”.

(„Gwiazda”)

Rozterka i niepokój poety są jednak podszyte rezygnacją. Nie ma ucieczki od tak widzianego świata. Krąży w nim po „kamiennej orbicie”, z której niepodobna się wyrwać. Dlatego Walawski nie proponuje krajiny łagodności, sielanki jako leku na chorobę cywilizacji technicznej, jak to czynili poeci z grupy „Muzyna”.

Można nie zgodzić się z takim widzeniem świata, nie godzić się ze współczesnym katastrofizmem. Konflikt między wartościami humanistycznymi a przelotem techniki jest w naszych warunkach konfliktem wydumany. Ale nie można odmówić Walawskiemu szczerości i autentyczności w jego rozterce, sugestywności mechanistycznych wizji, wreszcie nowoczesności i adekwatności środków wyrazu poetyckiego. Wiersze z „Kamiennej orbity” nie są budowane z łatwych naskokowych emocji, mimo to przy uważniejszej lekturze ujawnia się w nich głęboki liryzm i szeroka skala uczuć. Dlatego pisałem wyżej o pozorach oschłości tej poezji. W sumie tomik Jerzego Walawskiego jest dojrzałym i interesującym debiutem.

Jerzy Walawski „Kamienność orbity”
W. L. Kraków 1963 r.

chau”. To nie było jakaś legitymacja człowieka: hitlerowcy wiedzieli, dlaczego chcieli skazać na zagładę pisarza ziemie śląskiej, nauczyciela, działacza społecznego, patriotę. Pisarz uratował się dzięki przypadkowi. Nazywał się Gustaw Augustyn, na skutek drobnej nieścisłości figurował w aktach gestapo jako Augustyn Morcinek. Gdy gestapo zażądało wydania z Dachau polskiego pisarza, niemiecki więzień polityczny, pracujący w kancelarii obozowej, odpowiedział, że nie ma w obozie żadnego Gustawa Morcinka, aczkolwiek wiedział, że poszukiwany Gustaw Morcinek przebywał w Sachsenhausen i Da-

Morcinek. W ten sposób człowiek ufający wszystkim, uczynny, serdeczny — przetrwał.

Zabraknie nam Gustawa Morcinka, zabraknie kolegi, przyjaciela, pisarza, który nieustępliwie, przez całe niemal życie, spokojnie i niecierpliwie zarazem, utrwalał ludzi wynurzających się z podziemi i znikających wśród nocy i kłębow dymu. Tworzył ich legendę, ale nie zaprzeczał ich obecności tutaj. Morcinek oznajmił ich istnienie, kiedy inni jeszcze nie wiedzieli, czym jest ta ziemia i jej ludzie.

Stanisław Wygodzki

WALENTIN SZCZERBAKOW

JUBILEUSZOWY

lasu nie chodzą. Można w ten sposób poznać ciekawych ludzi. Pogadasz o tym i o tym, raz spojrzysz — i już przyjaźń. A ty czemu tak brykasz, zmarlaś? Kichaj na mróz!

— Widać, jak ty na mróz kichasz — roześmiała się dziewczyna oglądając Charczuka od stóp do głowy.

— To moja dziwaczka tak się o mnie niepokoi, bo ja nie mam nic przeciw hartowaniu. Dawniej nacieriałem się śniegiem i biegłem w samym wacaku, w butach i golfie, ot tak, ze starego żołnierskiego przyzwyczajenia.

Wóz znowu podrzuciło i śnieżny pył zawirował w kabinie.

— Znasz ją? — Charczuk wskazał rękawicą fotografię. — Właśnie dziś mam jubileuszowy rejs, chcesz, to szczegółowo opowiem.

Wchodząc raz do naszej herbaciarni w sowchozie (akurat dwa lata temu) i wołam: „Komu tam spieszy do Sacharówki, zaraz jadę, jest miejsce w kabinie”.

A w herbaciarni tłok, narodu jak prych święcie, napalone, nadymione, pachnie barszczem i nikt jeszcze się na moje wołanie nie ruszył. Chciałem powtórzyć, aż tu jakaś dziewczyna zza stołu rękę podniosła jak uczennica i milczy. Podszedłem do niej i widzę, że ta dziewczyna ma wzrostu niezwykle wysokiego. Nawet się wystraszyłem.

— Czy ty, — pytam — nie zamarniesz mi w drodze?

Ona milczy, zawstydzona się widocznie. Zawróciłem do wyjścia i mówię:

— Jeżeli ci tak zależy, to jedź. Chodźmy.

A chłopak z naszej autokolumny jak nie urządził na całe gardło:

— Pawło, patrz, jakie ona ma długie nogi, gdyby je odmroziła będziesz za to odpowiadał!

W herbaciarni gruchnął śmiech. A dziewczyna podchodzi do mnie i przekonuje:

— Nie zamarniesz, nie będziecie za-

mnie ponosił żadnej odpowiedzialności.

Spojrzałem na nią uważnie i zaciekawilo mnie, ile ma lat.

— Z któregoś ty roku? — zapytałem.

— To nie ma znaczenia — zakpiła.

— Mam sto lat.

— Dziwaczko — mówię — zamarniesz.

— Dziwaku — mówi — ty sam zamarniesz.

Jedziemy, a droga wtedy była widoczna, miękka. Pomyślałem:

Ze też takiej młodej dziewczyny zachciało się przyjeżdżać tu zimą — i zapytałem:

— Co cię tu ściągnęło?

— A ciebie co ściągnęło?

— Chłop ze mnie.

— A ze mnie baba.

— Pewnie nie było ci słodko tam, skąd jesteś?

— Głupstwa! I tu słodko, i tam słodko, dasz sobie wreszcie radę, jeśli głowa nie na parade.

— Dowcipnie to powiedziała, prawda? — zapytał Charczuk współtowarzyszską podróż.

— Opowiadaj dalej — poprosiła dziewczyna, która chciała się dowiedzieć, jak doszło do znajomości szefera brygady z jego żoną pracującą od dwóch lat w sowchozie jako traktorzystka.

— A więc tak, — ciągnął dalej Charczuk. Jedziesz tu do kogoś? — zwróciłem się do niej z pytaniem.

— Nie, — mówi — do nikogo nie jadę.

— Jesteś komсомolką?

— Komсомolką.

— A, rozumie — mówię. Na bohaterkę masz zamiar się wykierować.

— Zatrzymajcie maszynę, słyszyście? — obrzuciła się na mnie. — Nie jadę dalej. Poczekam na następną okazję.

— Nie złość się — mówię — siedź. Żadnych maszyn dziś do Sacharówki nie będzie ani jutro, ani pojutrze. W Sacharówce jest wszystkie-

W OCZEKIWANIU NA WIEK BALZAKOWSKI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czasami ustępuje, bo jakże nie respektować zaświadczenia lekarskiego...

Od pozostałych jednak bezwzględnie wymaga ukończenia szkoły. Nie tylko wymaga, ale umożliwia im podjęcie i kontynuowanie nauki. M.in. w miarę możliwości robotnicy ci, pracując na odpowiednich zmianach, otrzymują urlopy, w klasie V i VI — 7 dni, w VII — 14 dni. Tym dyrektorom, kierownikom i personalnym, którzy twierdzą, że brak podstaw prawnych do udzielania urlopu, podaje iż w Krośnie oparto się na okólniku prezesa Rady Ministrów z dnia 3 XI 1949 r. („Monitor Polski” z dnia 21 XI 1949 r. Nr A-86, poz. 1063). Wprawdzie w tym akcie normatywnym użyto sformułowania: zakład „może” udzielić urlopu, ale nie „musi”. Przepis ten w Krośnie komentowany jest jednak na korzyść pracownika.

Dyrekcja huty nie ogranicza się do formalnego spełnienia obowiązków spoczywających na pracodawcy. Przedstawiciele zakładu pozostają w ścisłym kontakcie z wydziałem oświaty oraz szkołą dla pracujących. Pracownicy zamieszkani kierowani są na kursy w miejscu ich zamieszkania. Warto wspomnieć o Czesławie Kwicieleńsprawiającej funkcję swego rodzaju społecznego kuratora. Nie tylko zasięga w szkole informacji o postępach w nauce, ale sama pomaga dorosłym uczniom, udziela lekcji, zachęca do wytrwałości. To też m.in. zadecydowało, że rokrocznie grupa robotników huty zdobywa świadectwo siódmej klasy.

Przykład krosnieńskich hut jest bardzo wymowny. Dowodzi, że można zorganizować szkolenie załogi, można skłonić wielu pracowników do ukończenia wykształcenia ogólnego. Towarzysze z Krosna dostrzegają także pozaprodukcyjne korzyści płynące z kształcenia robotników. Z ludźmi kulturalniejszymi łatwiej przecież pracować. Ale załoga taka wymaga kierownictwa na odpowiednim poziomie, inaczej wówczas układa się wzajemny stosunek pomiędzy podwładnym a przełożonym. Nie popadnie chyba w patos, jeśli stwierdzić, iż świadomość socjalistyczna, socjalistyczne stosunki międzyludzkie w procesie

pracy uwarunkowane są m.in. wykształceniem załogi.

A jak jest w innych przedsiębiorstwach? Pęd do wiedzy, powtórzmy to jeszcze raz, staje się coraz silniejszy, ale nie ogarnął on tych wszystkich, którzy winni podnosić swoje kwalifikacje. W kształceniu pracujących występują zbyt jaskrawe dysproporcje. Wzrastające liczby uczniów i studentów mogą napawać tylko wówczas optymizmem, gdy nie uzmysłowiły sobie zapotrzebowania na wykwalifikowane kadry, gdy nie skonfrontujemy tych danych ze strukturą wykształcenia naszego społeczeństwa.

Spis powszechny w 1960 r. wykazał, że 270.580 mieszkańców Rzeczypospolitej nie ukończyło szkoły podstawowej, w tym od 14 do 17 lat — ponad 8 tys., od 18 do 24 lat — ponad 20 tys., od 25 do 59 lat — 242.320. Spis ten ujawnił ponad 9 tys. analfabetów i półanalfabetów. Ponad 30 pracowników rzeszowskich przedsiębiorstw uspołeczniowych podpisuje się jeszcze krzyżkami. Dyrekcje zakładów pracy przyznają się do zatrudnienia 10 tys. młodych ludzi bez wykształcenia podstawowego. Nieznana jest prawdziwa struktura załóg pod względem wykształcenia. Część kierownictwa przedsiębiorstw nie dopełnia obowiązku przekazywania odpowiednich wykazów wydziałom oświaty. Według szacunkowych obliczeń działu oświaty dorosłych KOS zatrudnionych jest jeszcze ponad 16 tys. pracowników w wieku do 35 lat, którzy nie ukończyli szkoły podstawowej.

Rokrocznie wydawanych jest 8 tys. świadectw, z których tylko 2 tys. otrzymują robotnicy. Niepracujący chętniej uzupełniają wykształcenie aniżeli robotnicy, zwłaszcza dojeżdżający ze wsi. Najprawdopodobniej wymagany cenzus wykształcenia skłania młodzież wiejską, a nie tylko młodzież, do podjęcia nauki na kursach. W br. w szkołach dla pracujących uczy się 1.395 osób, w tym 50 proc. robotników. Spory odsetek stanowi młodzież, która przerwała naukę w szkołach dziennych. Jest to element niezwykle trudny, często zarażony bakcylem chuligaństwa. To oni w dużym stopniu deprecjonują powagę szkolnictwa dla pracujących.

Można wyróżnić dwa główne źródła dopływu pracowników bez

wykształcenia podstawowego. Są nimi mieszkańcy wsi urodzeni w latach międzywojennych, którzy w swej młodości rzeczywiście nie mieli warunków do edukacji. Drugą grupę stanowi młodzież, która już w okresie powojennym nie dopełniła, najczęściej z winy rodziców, obowiązku szkolnego. Np. z rocznika 1947 ponad 4 tys. osób nie ukończyło szkoły podstawowej. Wchodzą oni obecnie na rynek pracy zwiększając i tak dostatecznie poważną rzeszę robotów, dysponujących tylko siłą fizyczną. A iluż wśród nich półanalfabetów? Czyż nie stanowią oni hamulca na drodze do postępu?

Dlaczego robotnicy tak niechętnie podejmują naukę w szkołach podstawowych? Administracja przedsiębiorstw wskazuje głównie na spłót przyczyn psychologicznych: wstyd, obawa przed rzekomym ośmieszeniem się w swym środowisku, niedocenianie wiedzy. W debacie „Gumie” kilkudziesięciu pracowników solennie zobowiązało się do nauki. Nazajutrz w szkole zjawili się... dwóch, w tym jeden z rozpaczliwym dla społeczeństwa odważnym przysiędł zamroczony alkoholem. Kierownictwo jednego z PGR w pow. lubaczowski odetchnęło z ulgą — już od tygodnia pracownicy dojeżdżają do szkoły służbowym samochodem. Do szkoły? — „A kuku! panie kierowniku, pan nam zafundował środek lokomocji do knajpy lubaczowskiej. Aleśmy pana nabili w opróżnianie przez nas butelki”.

Można wymienić wiele przykładów forteli lub wręcz kretactwa mającego ułatwić przeczekanie „wieku paborowego”, osiągnięcia 35 roku życia. Nie zgadzam się jednak z tymi, którzy powyższe wypadki usiłują uogólnić. Włókiarki z Krosna przestały się wstydić nauki, gdyż w zakładzie zorganizowano filię szkoły podstawowej. Rangę tego szkolnictwa podnieśli przewyższenie infantylizmu, będącego główną chorobą kursów przygotowujących do złożenia egzaminu w zakresie siódmej klasy. Dorosłych nie można uczyć tak jak dzieci. Warto upowszechnić inicjatywę niektórych uniwersytetów robotniczych ZMS, które kursy kwalifikacyjne łączą z nauką w zakresie szkoły podstawowej. Aktyw gospodarzy i polityczny zakład, zamiast wyolbrzymiać nastroje części załogi, musi sumiennie przekonywać zainteresowanych o potrzebie nauki, stworzyć im dogodne warunki. A to jest rzeczywiście praca trudna, ale przynosząca rezultaty, jak tego dowodzi przykład Krosna, Stalowej Woli lub Mielca. Zasadnicza odpowiedzialność za niezrealizowanie planów kształcenia załóg spada więc na zakłady pracy.

A nauczyciele? O ich pracy trzeba pisać z uznaniem. Chcą uczyć, ale często nie mają kogo. Uczniów szukają po przedsiębiorstwach i instytucjach. Gazetowe laurki nie ułatwiają im jednak pracy. Wspominałem o infantylizmie wielu kursów. Część nauczycieli nie zna dydakty-

ki nauczania dorosłych. W miejscowości T. nauczycielka poświęciła 6 kolejnych zajęć na gramatykę języka polskiego. Zbyt mało czasu przeznaczają na powtarzanie, utrwalanie materiału. A ośrodki metodyczne nie udzielają im dostatecznej pomocy metodycznej. Zbyt często nauczyciele ulegają także presji uczniów domagających się taryfy ulgowej. Wielu po prostu boi się „oblać” kursanta.

Zamierzone wymagania na kursach powodują ucieczkę ze szkół wieczorowych: rzeszowianie zdobywali „papierki” na kursie w Boguchwale, mieszkańcy miast powiatowych — czasami w odległych wioskach. Szkolnictwu dla pracujących więcej uwagi powinna poświęcić administracja szkolnictwa. Tylko w trzech wydziałach oświaty są podinspektorzy do spraw oświaty dorosłych. Właśnie te powiaty wykazują się pewnym dorobkiem.

Uzupełnianie przez pracowników wykształcenia ogólnego oraz zdobywanie przez nich tytułów kwalifikacyjnych: robotnika wykwalifikowanego oraz mistrza (i w tej dziedzinie postępy są niewspółmiernie małe do potrzeb) nie może być traktowane jako zadanie sezonowe, dalszoplanowe. Baza rekrutacyjna na kursy przez wiele lat nie będzie wyczerpana. Należy się jednak pośpieszyć, gdyż rokrocznie wielu młodych ludzi pochopnie zwalniali pracodawcy z obowiązku dokończenia nauki, pomagają im doczekać zbawczego wieku balzackowskiego.

Zdzisław Kozioł

4 stopnie wtajemniczenia

Taniec bez uśmiechu

Ogromnie barwnym, pełnym młodzieńczego wdzięku akcentem zamknął kulturalny Rzeszów rok 1963. Akcentem tym były Centralne Eliminacje V Ogólnopolskiego Konkursu Tańca Towarzyskiego. Zjechał do Rzeszowa przedstawiciel 12 województw. Zabrakło reprezentacji kilku ośrodków, ale jak wiemy taniec towarzyski nie zyskał sobie jeszcze właściwego miejsca w ruchu amatorskim. Przyczyną tego jest nie tyle brak zainteresowania tą formą rozrywki kulturalnej, bo przecież wszyscy tańczymy gorzej czy lepiej na rozlicznych wieczorkach i imprezach rodzinno - przyjacielskich, ile brak nauczycieli tańca towarzyskiego.

Halę sportową przy ul. Pułaskiego na obu imprezach (ub. sobota i niedziela) wypełnili rzeszowianie po ostatnie miejsca. I przypuszczam, że nie jeden z obecnych porównywał atmosferę panującą na parkiecie konkursowym z załoczoną bełta-

dem podrygów, który zwykle króluje na dansingach i zabawach. Tańca trzeba się uczyć, aby ładnie, z wdziękiem i estetycznie poruszać się na parkiecie.

Eliminacje otworzył polonez, w wykonaniu wszystkich uczestników par tancerzy. Przepiękne to widowisko! Może tym bardziej piękne, że panie wystąpiły w sukienkach o jednolitym stylu. Przypominały one trochę zbiorową scenę z tańca iabedzi ze sławnego baletu Czajkowskiego „Jezioro Łabędzie”. I słusznie podkreślił w swym powitaniu tancmistrz Marian Wiczyski — kapitan Polskiego Klubu Tańca Towarzyskiego, że konkurs ten nie jest poświęcony modzie. Rzeczywiście, te piękne toalety były zaprzeczeniem obecnie panującej mody w strojach wieczorowych dla pań. Ale przyznajmy szczerze, że taka sukienka dodaje kobiecie w tańcu wiele czaru. Zresztą estetyka jest nieodłączną częścią tańca, jak każdej innej gałęzi sztuki. Na pewno rumba, cza-cza-cza czy pasodoble nie tak wyglądałyby w obcisłej długiej sukni.

Wizualno - estetyczny warunek przylatczający część par uczestników imprezy spełniła. Wierzę, że w tym niemała jest również zasługa poszczególnych sekcji i klubów tanecznych.

W eliminacjach wzięły udział grupy zaawansowane A, B i C oraz para taneczna szczycząca się klasą międzynarodową — małżeństwo Barbara i Artur Wiczyski z Krakowa. Na tle tancerzy V Konkursu — okazali się oni znowu bezkonkurencyjni. Ich muzykalność, wyczuć stylu poszczególnych tańców, piękno i harmonia ruchu zachwyca. Jednak do ideału coraz bardziej zbliżają się dwie pary: Maria Gęba i Janusz Biernacki z Krakowa (awansowali po konkursie do klasy międzynarodowej) oraz również z Krakowa, urzekająca czarem osobistym i wspaniałą techniką — nie tyle tańcząca ile baletową: Julia Nitecka i świetnie jej towarzyszący Tadeusz Bednarczyk z klasy B. Oni, ku ogólnej aprobach, wytańczyli sobie przejście do klasy A. Wydaje się, że w krótkim czasie powinni się oni znaleźć w międzynarodowej reprezentacji Polski.

Pozostali tancerze klas A i B byli w zasadzie tak wyrównani, że komisja sędziowska, składająca się z dyplomowanych nauczycieli tańca mogła skupić uwagę na ocenie inwencji tanecznej, i ogólnym wyrazie artystycznym par. Kolejność miejsc wykrystalizowała się bardzo szybko, a podjęty poszczególnych tańców nie wnosił do klasyfikacji nic nowego. Dobry tancerze dobrze tańczą każdy taniec, chociaż okazuje się, że o wiele łatwiej poprawnie wykonać cza-cza-cza niż starego walcza wiedeńskiego lub tango.

Wspomniałam już, że w eliminacjach centralnych biorą udział tancerze posiadający klasę C, drugi stopień wtajemniczenia artystycznego. Mimo to różnica poziomu między klasą C a B jest ogromna. Prócz kilku par, którym przyznano pierwsze trzy miejsca w tej kategorii (znowu dwie pary z Krakowa i jedna z O-pola, nota bene warto tu przypom-

(Dokończenie na str. 4)

KURS

go pod dostatkiem, a jak ja im benzynki przywieźć to i elektryczności nie zabraknie.

— To nie działa mi na nerwy — mówi.

Znowu zacząłem ją zagadywać: — Umiesz ty coś robić, czy tylko potrafisz oddychać i chleba jeść?

Nic mi nie odpowiada, rozniewała się na dobre. Jedziemy, milczymy. Mniej więcej w połowie drogi przemówiła:

— Pod maszyną coś ci skrzypnęło. Dawno już lataś na tej beczce?

— Nie jestem wozniwą — odpowiadam — A wiesz, że mój staruszek — benzynowiec to bohater pracy w czasie i przestrzeni. Cały Kazachstan objechał i teraz zaczął skrzypieć. Domyślałem się, że będziesz tu śnieg spulchniać na traktorze.

— Jakiś zarad...

— A więc jesteś traktorzystką? — wrzasnąłem jak opętany, bo nawet mi się spodobało, że Anka może pracować jako traktorzystka.

— A ja — mówi — jestem niate, dziesiąte i traktorzystka na dodatek.

Umilkłem, zamyśliłem się. Wiatr dmuchał coraz silniej, słońce skryło się w zachodzącej. Gesty śnieg walił w przednią szybę. Jadę prawie na oślep, motor ryczy, koła boksują, w kabine pełno pary, a dziewczaka wyciągnęła skądś mrożone jabłko i grzyzie.

— Południowe — mówi — Chcesz? Spróbuj.

Spłynęłam w bok i krzyczę: — Gryz sobie sama. Tu gryźć trzeba jeszcze trzydzieści kilometrów takiej drogi.

— Nie to nie — śmieje się. A ja wpadłem w gniew.

Naprzeciw śnieg. Kołysze jak niemowlaka w kołysce. Całe szczęście, że dziur nie ma, bobyśmy się dawno wyrócili. Pelznąemy trzy kilometry na godzinę. Za plecami w cysternie trzy tony paliwa, resory trzeszczą. Żeby tylko — pomyślałem sobie — nie ugrzęznąć, a tu sły-

szę: Chryps, chrruk, rruk i zaraz nas, ot tak, rzuciło... Motor huczy na pełnych obrotach, a maszyna z miejsca ani ruszy.

— Będziemy się teraz opalać — szepci dziewczaka i żuje swoje jabłko.

Wyskoczyłem, patrząc. Wał kardana odpadł od krzyżownicy i ugrzązł w śniegu, a zamiast go już przysypuje. Nie spodziwiałem się czegoś podobnego. Raz na sto lat wał kardana odpada. Złosić mnie wzięła, że też nam musiała się taka przygoda przytrafić. Zamazaliśmy, jeżeli zamiast nie uciechnie. Ale czy u nas można na to liczyć?

Wlaziłem do maszyny i krzyczę do Anki:

— Ty, długonoga, czemu drzwi nie zatrzasniesz, może ci gorąco?

Posiedziły tu ze trzy dni.

— Trzy dni? — zapytuje i widzę, że się boi i zaczyna stukać walonkami o podłogę kabiny.

— Ciszej — mówię.

Przestała stukać, ale tak mi jej było żal, że powiedziałam:

— A stukaj sobie ile chcesz.

Sam zastanawiałem się co robić?

— Weź moją szubę — mówi Anka. Ale czy ja bym pozwolił na to?

Nigdy.

— Przestań kpić, nie pora na żarty — burknęłam. Wcale nie dlatego, że bym jej nie lubił, przeciwnie, usiłowałem wtedy pokazać, jaki jestem roztropny i dzielny.

— Pójdziemy — mówię jej — do Sacharówki piechotą. Ludzie bez światła zostaną, jeżeli będziemy tu sterczeć. Zasypie nas śnieżyca albo zeżrą wilki i po krzyku.

— Wiesz — mówi mi — lepiej nie iść. Jeżeli uważasz, że to konieczne, weź moją ciepłą bluzę.

Nie odmówiłem, bluzka nie futro, a zamarać po głupiemu nikt by nie ryzykował. Bluzka była zielona, szorstka, pachnąca, w szyję mnie laskotała, bo nie miałem wtedy takiej brody.

Otworzyliśmy drzwiczki kabiny i zobaczyliśmy tylko śnieżną kurzwę, tak gęsto syptało. Wzięliśmy się za ręce, żeby się nie zgubić i poszliśmy jak dzieci. Anka przodem, ja nieco z tyłu. Ona mnie ciągnie, a ja drepczę w swoich brezentowych

(Ciąg dalszy na str. 4)



Zamek przemyski.

Fot. J. WÓJTOWICZ

